№ 25.

Warszawa, dnia 18 Czerwca 1864 r.



NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

CENA. **w Warszawie** *kwartalnie* złp, 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). **Na Prowincji** *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75).— **W Cesarstwie i Królestwie,** z dopłatą kopert pocztowych, *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop 50; *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 k. 75).

Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą.— —**Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, prosimy** adresować — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie, ulica Żabia Nr. 956 b, dom dawniéj Krzemińskiego.*

WYJĄTKI ZE WSPOMNIEŃ W. G.

ZNAKOMITE POSTACIE — ORYGINAŁY OBIÓR STANU.

(Dalszy ciąg)

Z historją ówczesnego Krakowa, ściśle się łączą i niektóre znakomite postacie i znakomite także oryginały, które starsi dobrze jeszcze pamiętać muszą. Między pierwszemi pomnę, był kościuszkowski major Gordon, pełen szram i blizn na twarzy. Drugi sędzia Czermiński, również kościuszkowski kapitan artylerji. Oni to obadwa przy wprowadzaniu zwłok Kościuszki do Krakowa, w tamtoczesnych mundurach przewodniczyli konwojowi.

Z oryginałów, najznakomitszą figurą był Żywodon. Któż go ze starszych nie przypomina sobie chodzącego mierzonemi krokami, zgiętego, z laską pod pachą, którą się czasem goniącym za sobą ulicznikom oganiał, w stósowanym kapeluszu, odwiecznym fraku i kamaszach? Zkąd się w Krakowie wziął Żywodon? nikt z pewnością nie wiedział. Utrzymywano jednak, że był synem kucharza francuzkiego z dworu jeszcze Ludwika XVI i z emigracją francuzką tu się dostał. Główną kwaterę miał na odwachu, z czego zaś żył, trudno było wiedzieć, bo dumny nigdy nie prosił, chyba że mu kto sam co dał.

Drugim z porządku był Krymołowski prawnik, który z powodu przegranéj sprawy dostał zajączków w głowie. Wiecznie z plikiem papierów za piernikowym frakiem, w wytartym ale wyczernionym kapeluszu na bakier, każdego łapał i opowiadał mu ostatni swój proces.

Daléj pani Kraszewska obywatelka i właścicielka domu podobno na piasku; najlepsza gospodyni, matka i żona póki była trzeźwą, ale skoro dostała napadu pijaństwa, co się raz co miesiąc przytrafiało, wtedy wypadała na rynek, lub najgłówniejsze ulice i w podskokach z podpartemi bokami, każdego porządniéj ubranego zaczepiała. Szczególną jednak wtedy czuła antypatją do Senatorów

których znała każdego. Gdy więc którego z nich spotkała zastępowała mu drogę skacząc i wołając:

— „Złodzieju wolnego miasta! ja pani, ja gospodyni, a ty co? Precz mi z oczu bo biję."

I to trwało dopóty, aż nie wdało się kilku policjantów, którzy ją na rękach szarpiącą się i wykrzykującą musieli odnieść na odwach. Na drugi dzień tę samą powtarzała scenę, dopóki sama do domu i zwykłych nie powróciła zatrudnień i była spokojną do miesiąca znowu.

Któż także nie pamięta właściciela trzechpiętrowéj kamieniczki o dwóch oknach w rynku, która dziś złączona jest z domem Dębińskich? Na dole był sklep starych książek, a antykwarjuszem i właścicielem téj kamieniczki był Drelinkiewicz, stary, chudy, łysy z okularami na kościstym nosie, w opończy całkiem już od starości bezbarwnéj. Cały dzień przesiedział w swoim sklepiku, w którym i nie jedna rzadkość bibliograficzna się znajdowała, ale sprzedawał je nie chętnie. Skoro się jednak zmierzchło, zamykał sklep i kamienicę, w któréj oprócz niego, podobno nikt nie mieszkał; sam przeto był panem, lokatorem i odźwiernym. Ztąd młodzież tysiączne mu robiła figle; i tak w karnawał, około północy, gwałtownie dzwonią do kamienicy: Drelinkiewicz nie mogąc oknem zapytać, bo zalepione, po długiem czekaniu, schodzi gankiem na dół i nie otwierając, pyta przez drzwi:

— „Kto tam? Kto dzwoni i czego chce?"

— „Panie!" odpowiadają „co to znaczy? Wszak tu Krzysztofory? dzisiaj reduta, dla czegóż pan pałac zamknąłeś. My maski, prosiemy otworzyć, bo zimno."

Ofuknąwszy więc psotników, odchodzi na górę mrucząc, ale gdy się dzwonienie powtarzało, wtedy zaczajał się i nagle potém otwierając, z kijem wypadał na ulicę. W ówczas jeden z figlarzów, zrywał mu szlafmycę, a drugi kwaczem umaczanym w czernidle smarował łysinę i daléj w nogi. Takie to pustoty wyrabiano, w tym kochanym zawsze, Krakowie.

Daléj następuje Odrowąż, który jakem go zapamiętał, mówiono że ma blisko lat sto, a jednak chodził po ulicy żwawo, z głową ogoloną starannie i w górę zadartą, w białéj wysokiéj konfederatce, piaskowym kontuszu, ogromnych na wysokich kutych obcasach butach, delji o krótkiéj pelerynce zarzuconéj na ramiona i rękawicach łosiowych. Twarz wychudła pargaminowéj barwy, surowego wyrazu, przedstawiała dziwne przeciwieństwo z pokoleniem, wśród którego jakby widmo z przeszłości dawno minionéj wyglądał. Mieszkał gdzieś na poddaszu, unikał wszelkich stosunków a cały kapitał jaki posiadał, wydał na proces i udowodnienie co w końcu i otrzymał, że w prostéj linji pochodzi od Iwana Odrowąża biskupa, fundatora kościołów: Panny Marji, Dominikanów i S. Katarzyny, i nadto że był kuzynem S. Bronisławy i S. Jacka.

...Ale dłużéj pod opieką stryja nie mogłem wytrzymać, rosłem, potrzeb coraz więcéj przybywało i ambicji, która objawia się z wiekiem i poznawaniem świata. A tu wszystko ze mnie leciało, stryj zaś coraz się trudniejszym okazywał w sprawieniu mi coś nowego, a gdy raz, potrzebując koniecznie dolnego ubrania, przyszedłem prosić o sprawienie mi takowego, stryj w odpowiedzi kazał mi pójść za drzwi.

To mnie tak zniecierpliwiło i dotknęło, żem sobie w tedy postanowił, zrzec się téj opłakanéj, upakarzającéj mnie opieki i myśleć sam o sobie. Postarałem się zatém o korrepetycją dla siebie za stół i stancją i wyniosłem się od kucharza.

Nikt się o mnie w domu stryja nie spytał, ani poszukiwania za mną nie robiono żadnego. Może być że w ten sposób nie powinienem był postąpić, chociaż prawie do kroku tego byłem zniewolony; być może, że chłopiec inny z prawdziwem zamiłowaniem nauki; ale jam nie miał téj mocy duszy nad sobą, cofnąłem się w tył i już nie zdążyłem za drugiemi. Nieraz wyrzucałem sobie późniéj, wyrzucam i teraz moją lekkomyślność, gdy widzę spółkolegów, synów ubogich rodziców, co w szkole żyli prawie o proszonym chlebie, dziś ludzie na pewnych stanowiskach zaszczytnych, lub też użytecznemi dla kraju obywatelami.. O! jakże oni szczęśliwi, że mogą z chlubą o sobie wyrzec: tem czem jesteśmy winniśmy jedynie sobie, naszéj wytrwałości i niezmordowanéj pracy.

Ale stało się, jeszcze winienem Bogu dziękować za zasady wpojone z młodu przez matkę, a późniéj za twardą szkołę życia którą przebyłem. One to uchroniły mnie od występku i nie zrobiły podległym jakiéj kolwiek zgubnéj namiętności lub nałogowi, a jeżeli umysłowéj uprawy brak zawsze dotkliwie czuć mi się dawał, przynajmniéj dusza moja nie jest całkiem zdziczałą i zaniedbaną.

Trzeba więc i na tem poprzestać i starać się według skąpych chociaż zdolności, nabytych późniéj usilną pracą, być jakkolwiek użytecznym w społeczeństwie, bo to cel życia tak mądrych jak i prostaczków.

Cóż z resztą dziwnego, że patrząc tylko z dala i co dnia prawie na świetne towarzystwo jakiem się babka moja otaczała, zapragnąłem jakiejś dla serca pociechy i domowego rodzinnego ciepła. Wprawdzie parę razy na miesiąc, zwłaszcza

w święta posyłano po mnie na objady do babki, ale to była męczarnia, któréj poddawałem się jedynie tylko z konieczności. Zwykle pod ten czas, oprócz staréj Francuzki o szczudle poczciwéj babiny, a dawnéj guwernantki jeszcze mojéj matki i ciotek, tudzież stryja, ciotki i babki nikt na objadach tych nie bywał. Przychodziłem regularnie o drugiéj, kamerdyner przyprowadzał mnie przed głęboką kanapę w któréj babka siedziała, całowałem ją w rękę ze drżeniem, a ona uszczypawszy mnie w policzek mówiła:

— „Jak się masz?”

Potem całowałem w rękę ciotkę, stryja i cofałem się pod wielkie szklanne drzwi wychodzące na balkon. Przy objedzie ani ja, ani nikt do mnie słowa nie przemówił; gdy wstano od stołu stryj wynosił się na górę dla drzymki, a ja, gdy panie robiły krytyczny po francuzku przegląd, jakiegoś wieczoru lub balu wczorajszego, postawszy jeszcze chwilkę pod tym samym balkonem szedłem do całowania rąk. Wtedy babka dobywała złotówkę, mówiąc:

— „Masz to na papier, ale tylko na papier.

Potém dzwoniła, kamerdyner wchodził i z tą samą jak wprzódy ceremonją, odprowadzano mnie, ale na schody tylko.

Nie miałoż mi także ściskać się serce, gdy zwłaszcza w karnawał, stojąc pod Knotza domem, przed którym w pośród mnóstwa karet trudno się nawet było przecisnąć, patrzyłem tylko z ulicy na oświetlone apartamenta babki mojéj, gdzie cała świetność ówczesnego towarzystwa Krakowskiego zgromadzała się, jak: Wodziccy, Małachowscy, Wielopolscy, Mieroszewscy, Dębińscy, Przyrębscy, Działyńscy, Potuliccy, biskup Woronicz i inni podobni panowie i panie. Na zabawę ich patrzyłem się tylko z ulicy, bo dla mnie były tam drzwi zamknięte.

W szkołach rok jeszcze przebyłem utrzymując się własną pracą, pomocą matki i niektórych dobrych ludzi.

Daléj jednak nie posiadałem żadnych środków do kończenia nauk, a tu poczynałem już rok siedemnasty życia. Zrazu miałem zamiar wejść do seminarjum i zostać księdzem, zwłaszcza że kapituła Krakowska zawsze się rządziła zasadami arystokratycznemi, jako więc familjant przy jakiejkolwiek protekcji, mógłbym prędko pójść naprzód. Ale chociaż zdawało mi się mieć powołanie do tego stanu, wzdragałem się żądać wpływów mojéj nieczułéj rodziny. Potem chciałem wejść do klasztoru i zostać reformatem, bo podobało się młodemu memu umysłowi, życie na pozór ciche, spokojne, wolne od wszelkich żądz i namiętności i wyłącznie poświęcone Bogu. Ale rozsądny kapłan z tego samego zakonu, gdym mu się na spowiedzi zwierzył z moich zamiarów, odwiódł od przedsiewzięcia wskazawszy inne obowiązki, które równie pełnić można z chwałą Bogu a pożytkiem bliźnich. Więc jak to bywa że z jednéj ostateczności jednym prawie skokiem rzucamy się w drugą, zajął mnie stan wojskowy.

Było to jakoś na kilka tygodni przed wakacjami roku pańskiego 1826. Byłem w ówczas w klasie piątéj w liceum S. Anny w Krakowie, gdy razu jednego wychodząc jak zwykle o godzinie 11 z lekcji, ujrzeliśmy na rogu ulicy mnóstwo malców z klas niższych pędem bieżących za jakimś jaskrawym i błyszczącym przedmiotem.

Lud cały miasta Krakowa zatrzymał się także, to się oglądając po za siebie, to się gapiąc z wielkiem zajęciem.

Przedmiot jednak téj ogólnéj uwagi, którego my rozpoznać nie mogliśmy, szybko się posuwał w rynek, tylko cóś jakby kitka biała od czasu do czasu pochylała się na rogatą amarantowéj barwy czapkę: tylko niby błysk nagły lipcowych słońca promieni, odbił się kiedy niekiedy, o to niepojęte dla nas zjawisko. A w tem szmer i szelest zrazu cichy, potem coraz głośniejszy począł się szerzyć dokoła:

— „Patrzajcie panowie! patrzajcie panie! co za śliczny ułan z Warszawy! ach! co za pyszny mundur!

— A! co za mina dziarska? odezwano się gdzieindziéj.

— Jaki ładny! zaszemrał jakiś nieśmiały półgębkowy głosik. A ułan walił sobie daléj, niby nic nie widząc nic nie słysząc co mówią koło niego, tylko co raz to wąsa dumnie pokręcił, to rękę z wdziękiem przyłożył do wspaniale na prawem uchu leżącéj amarantowéj czapki, wreszcie wpadł do jednéj z kamienic na ulicy Grodzkiéj.

Był to na urlop przybyły podoficer z pierwszego pułku ułanów, Józef Wasilewski, a że z bratem jego Edmundem, owym zawcześnie dla polskiéj muzy zgasłym poetą krakowianem, kolegowałem i byłem nawet w przyjaźni, więc w krótce z naszym ułanem zabrałem znajomość.

Jak tedy zaczął nam życie wojskowe wychwalać, owe parady na Saskim placu, opisywać rewją, manewra, świetne uroczystości, rozkosze garnizonowego życia i ten ubiór pyszny narodowy, dziarski koń, furczącą chorągiewkę u lancy, błyszczącą u boku szablę i brzęczące ostrogi, tyle dokazał, że odjeżdżając zwerbował tęgi hufiec krakowianów. Co do mnie, od téj chwili zapomniałem o seminarjum, o ojcach reformatach, do czego zrazu mia-

łem szczerą niby ochotę; nauki mi zmierzły, tylko na jawie i we śnie ciągle hasałem w ułańskim mundurze z czapeczką na bakier na ognistym gniadoszu, tworząc sobie już naprzód w żywéj wyobraźni stopnie i honory, boje, krzyże, i rozkosz powitania kiedyś z dalekiéj jakiéj wyprawy zdziwionéj i uszczęśliwionéj matki i rodzeństwa zwycięzcą i bohaterem. Doczekawszy więc zaledwie egzaminu, skończywszy klasę piątą licealną mając lat siedemnaście, pospieszyłem do matki z najsilniejszem postanowieniem, więcéj do szkół nie wracać, lecz wyrobić sobie u niéj pozwolenie i pomoc jechania do Warszawy do wojska. Matka z początku ani sobie wspomnieć o tém nie dała, najprzód że siły moje zbyt jeszcze były wątłe i zdrowie słabe prawie od dzieciństwa; powtóre że nie było funduszu na wyprawienie mnie i przyzwoite opatrzenie, a nadewszystko nie miałem nikogo, co by mnie za przybyciem do Warszawy w opiekę przyjął. Ale na wszystko miałem gotową radę i wyrobiony argument do zbijania robionych mi zarzutów. Co do zdrowia, powiedziałem, że potrzebuję zahartowania się za młodu, które wzmocni moje siły. Co do tego nie omyliłem się, bo pierwéj zawsze słabowity, w wojsku byłem ciągle zdrów i silny. Co do pieniędzy, oświadczyłem że tych nie potrzebuję tylko na podróż do Warszawy, bo zaraz na miejscu za pomocą zabranéj znajomości z Wasilewskim[1], zaciągnę się do pułku ułanów, dostanę mundur i żołd i będę miał utrzymanie. Tu przeliczyłem się grubo, i mocno tego żałowałem. Co do protekcji zaś, oświadczyłem, że jéj ani żądam ani potrzebuję, bo pragnę własną zasługą torować sobie drogę do awansu, nie żadnemi wpływami możnych, które uważam za intrygę, niegodną honoru żołnierza. Tu się jeszcze grubiéj przeliczyłem, dając najlepszy dowód że nie znam ani świata ani ludzi.

Ale dobra i poczciwa matka, widząc moją stałą wolę, zresztą nie mając środków do zapewnienia lub obmyślenia mi na innéj drodze przyszłości, choć z bólem serca i obawą o mnie, uległa wreszcie mym naleganiom i powierzyła resztę woli Boga.

Zdobyła się biedna na złotych sto, opatrzyła mnie w bieliznę, świadectwo szkolne, metrykę, dała pozwolenie legalizowane, wreszcie błogosławieństwo, i jadącemu furmanowi z towarem, ze łzami powierzyła, który mnie pamiętam szczęśliwie do Warszawy d. 10 Grudnia przywiózł, i wysadził w domu zajezdnym przy ulicy Freta i zostawił samego wśród nieznanego mi miasta i zupełnie obcych ludzi. Kiedy mój tłómoczek ujrzałem obok siebie, i żyd wziąwszy list do matki, z ostatniem mojem pożegnaniem zniknął za bramą hotelu, a ja sam, zupełnie sam, znalazłem się w cudzem nieznanem miejscu, bez jednéj znajoméj życzliwéj twarzy, bez kochającego mnie serca, z którego mógłbym czerpać radę, pociechę i pokrzepienie, ścisnęło mi się serce i dopiéro pojąłem całą ważność zuchwałego kroku, jaki na drodze życia postanowiłem. Cofnąć się jednak nie było sposobu.

Dzień ten pierwszy strawiłem na oglądaniu powierzchowném Warszawy, w któréj zbłądziłem nie jeden raz, nim do mojego trafiłem mieszkania.

(d. c. n).

---

* * *

Zaczynając dzisiejszą z Wami rozmowę, w rzeczywistym znajduję się kłopocie... Rozbałamucony niezmiernie daleką przechadzką, bo dochodzącą aż do botanicznego ogrodu, wszystkie wrażenia świątecznéj szaty Warszawy, brzęczą mi jeszcze niesfornie, krzyżując się w różnych kierunkach, jak błyski dalekiéj piorunowéj burzy, zdradzanéj głuchem burczeniem grzmotów i migotem oślepiających błyskawic.

W domu par przeszło trzydziesto stopniowy, wybiegam więc na ulicę aby pomiędzy chmurami pyłu, jakiemi nas elegancja przedsiebierców brukarskich obdarzyła, pragnących pod warstwą piasku ukryć fuszerskie koślawizny lichéj swéj roboty, przedrzeć się do Saskiego ogrodu. Zakurzony, oślepiony, zakasłany, po części ogłuszony nieznośnym rumotem i trajkotem, co chwila przelatujących dorożek, powozów i omnibusów, wpadam wreszcie pod rozłożyste sklepienie kwitnących kasztanów. Przedewszystkiem uderza mnie rój przechadzających się, szelest powłóczystych sukien, gwar a raczéj szum cichéj rozmowy wesołe krzyki dziatek, skaczące piłki, turlające się kółka, a potém.... duszące ciężkie powietrze otaczające całe ruchliwe ogrodu zgromadzenie, i w gęstym tumanie pyłu unoszące się po nad głowami. Uciekam więc pospiesznie, urywam przydeptaniem coś ze trzy suknie ogoniaste, sprawczynie nieznośnie duszącéj atmosfery, łamię dwie stalki od krynolin, przedzieram a raczéj przeciskam się, przez kilka barykad z bufiastych sukien, i potrącany, popychany, mijam wreszcie plac S. Aleksandra falujący pyłem niby poranną mgłą, powiewaną delikatnym podmuchem wiatru. Dopiero w ciemnistym szpalerze Ujazdowskiego placu, odetchnąłem swobodniéj, patrząc z zajęciem na tysiączne tłumy,

pieszo i na kołach, ciągnące nieprzerwanemi sznurami ku botanicznemu ogrodowi, aby się nasycić wonią wiosny, miękką murawą i świegoleniem rozlicznego ptastwa.

Ale ścisk niepraktykowany, tamuje wszelką swobodę ruchu. Co chwila słyszysz trzask urywanych brytów od sukien zamietających ulicę; przeproszenia, wymówki, chmurne spojrzenia, ach! i ech! panienek zaczepiających się o gałązki lub ukryte w trawnikach kołki sypią się jak grad na wszystkie strony. Idę jednak daléj, omijam, okrążam, gzygzakuję, przeskakuję, ścisk rośnie, powiększa się jakby ludzie wychodzili z pod ziemi; wszędzie rojno, gwarno, tłumno, nie mogę wydobyć się na spokojniejsze miejsce, docisnąć do ławki, dopchać do wody przy źródle, aż wreszcie dorwałem się szczytu wzgórza i stanąłem przy stroméj ścieżce wijącéj się tuż przy winnicy.

Dołem, pomiędzy zieloną murawą w prawo w lewo, w górę, na dół łącząc się i rozdzielając, płynęły jakby rozliczne strumienie, strojne grona Warszawianek i Warszawiaków. Na płaszczyznach trawnikowych spadających w różnych kierunkach, tu i owdzie w cieniu posiadały rozliczne grupy, gwarząc i przypatrując się niezmiernie ruchliwemu obrazowi, u stóp ich mienił się co chwila, wszystkiemi kolorami kwiatów zdobiących kobiece kapelusze. Nad tem wszystkiem brzmiały prześliczne trele kilku słowików, do których zbliżając się maszerująca publika milkła, nadsłuchując z zachwyceniem miłosnéj piosnki śpiewaka gajów nadwodnych.

Patrząc na ten piękny, pełen powabu i ruchu i życia obraz, i ja jakoś ożywiłem się, i gdybym się nie wstydził... ale jeden wstydzi się poczciwéj swéj pracy, drugi niezasłużonéj biedy: ten dla wstydu zapiera się ubogiéj rodziny, choć najzacniejszéj niepomny, że największym wstydem właśnie jest podobne nie szlachetne zaparcie.

Znam takich, co wstydzą się na poczęstunek nie odpowiedziéć poczęstunkiem: chodzić w przeszłorocznem ubraniu, kazać załatać obuwie, przeprosić doktora za małe honorarjum, mieszkać na bocznéj ulicy, ze zmianą dochodów zmniejszyć mieszkanie, zasiąść pół groszowego wista lub preferansa, chodzić piechotą i obchodzić się w domu skromnym pokarmem: otóż tego wszystkiego wstydzą się, ale się nie wstydzą, prawie żebrać pożyczki, pożyczywszy nie oddać, podejść, odrwić, oszukać okłamać, rzemieślnika zarwać, w komornem zaledz, sługi ukrzywdzić, wydrzeć grosz choćby z szatańskich pazurów, sprzedać sumienie, przegrawszy w karty nie zapłacić, wygrawszy o zapłatę upominać się, słowem nie wstydzą się niczego choćby najnikczemniejszéj sprawy, aby tylko nie zbyt jawnie krzyczącéj i kończącéj się dukatem spadającym w kieszeń.

Nie dawno jedna nabożna i niezmiernie świątobliwa dusza, wysokiego rodu o podwójnym czy potrójnym herbie, żaliła się z wielkim smutkiem iż dwie bliskie kuzyny niezmierny jéj *wstyd* przynoszą. Jedna bowiem owdowiawszy, i mając wszystkiego kilkanaście tysięcy, żeby z dziećmi nie umrzeć zgłodu, założyła handelek z drobiazgami: druga zaś z lat i pracy straciwszy wszelkie siły, zapomniana przez jasną kuzynkę, podała prośbę o wsparcie do osoby przypadkiem znającéj bliżéj jéj pokrewne stosunki.

To ją dobiło, i dziś zrozpaczona *od wstydu*, narzeka i łabodzi na wstydzące ją tak nieznośnie kuzynki, z których jedna woli kupczyć, druga prosić, jak umrzeć z głodu.

Myśląc nad tak niehonorowem przywiązaniem do życia, rozczuliłem się nad honorowemi cierpieniami zbolałéj od wstydu duszy, i w krótce ogłoszę konkurs, na wykrycie sposobu, zasłaniającego ludzi od podobnych wstydów. Hamując uniesienie już miałem opuścić te manowce wzdychającego serca, ze szczodrością marnotrawcy, rozsypującego łzy i westchnienia, gdym wyczytał doniesienie że w Paryżu wynaleziono nowe strzelby, z których jednocześnie można strzelać i kłuć bagnetem, i że w Londynie Towarzystwo opieki nad zwierzętami ogłosiło konkurs na wynalazek pułapek na szczury i myszy, chroniące biedne te stworzenia od niepotrzebnych udręczeń.

O! zacna chrześcjańska cywilizacjo dziewiętnastego wieku! Dla ludzi zrobiłaś wszystko, wynalazłaś przybory, hurtem wyprawiające ich z padołu nędzy do lepszego życia: w broni ognistéj potroiłaś wystrzały: bagnet potarłaś kulą, wymyśliłaś nowe zatapianie całych okrętów, wykoncypowałaś baterje wagonowe i machiny kładące ludzi trupem, jak sierp kładzie kłosy na zżętem polu, słowem wnikłaś wszędzie, wszystkoś nacechowała wielką swą myślą, przeistoczyłaś, pokonałaś, prześwidrowałaś wszystkie warstwy społeczne i postawiłaś człowieka na stanowisku, tak wysokiem.... że go nawet dojrzeć nie można, brakowało ci tylko jednéj rzeczy... litości nad szczurami i myszami, i ta przypłynęła w kształcie konkursu.

Cześć ci więc o przezacny, przemądry, przelitościwy dziewiętnasty wieku!

Nowości Zagraniczne.

Journal des dames et des demoiselles. Oprócz paltoników, które zawsze wielkie mają powodzenie, noszą peleryny okrągłe czyli rotondy, burnusy i mantyle szalikowe tak z materji jak i z muszlinu, garnirowane ruszami lub bufkami z podwleczeniem kolorowem.

Burnusy robią z lekkich tkanin wełnianych a nawet z bareżu, grenadiny, gazy jedwabnéj, kapturek przy nich zwykle ozdobiony kwastami szmuklerskiemi. Suknie białe w czasie upałów znów wchodzą w użycie, robią je z fularu, alpagi bardzo cienkiéj, żaknotu i muszlinu. Kapelusze okrągłe mają rozmaite nazwy, najwięcéj widać z brzegami odwiniętemi w górę i kaszkieciki żokiejskie, ubierają zwykle piórami albo szkrzydełkiem gołębiem, z bażanta lub kapłona, mięszając niekiedy piórka pawie, jeżeli obłożenie z aksamitu szkockiego.

Le moniteur de la mode. Na suknie do częstego ubrania, powszechnie używana: alpaga, *moher*, nowy wyrób *Lincoln*, i royal-rib, na lżejsze suknie, bareż satynowany, gaza jedwabna i muszlin drukowany w dyspozycją *pompadour*. Suknie jedwabne i wełniane w dobrym gatunku przyozdobiają sznelką, wstawką koronkową, frendzlą sznelową, i frendzlą *boléro* z podwójnym rzędem gałeczek, i pasmanterją z mięszaniną lawy. Suknia ze stanikiem frakowym Ludwik XV ulega rozmaitym odmianom, ogólny jednak charakter tego stroju, jest to długa baskina z tyłu stanika naśladująca frak męzki. Nowy rodzaj guzików do kaftaników z flanelki i kaszmiru wyrabiają z konchy perłowéj z obwódką stalową, inne szmuklerskie z lawą, albo stalowe do ozdoby sukien.

La Sylphide. Do najdziwaczniejszych nowości ubrania kobiecego należy teraz frak, kaszkiet i kapelusz bez dna, prawdziwie wstrzymać się nie można od śmiechu patrząc na te wybryki mody. Do uzupełnienia błazeństwa może jeszcze zaczniemy się stroić w kapelusze z dzwonkami! Nim to jednak nastąpi opiszemy tu ogólnie przyjęte kapelusze. Najstrojniejsze bywają mięszane z krepy i tiulu jedwabnego, do częstszego ubrania najpraktyczniejsze ze słomy belgijskiéj, włoskiéj, ryżowe, z włosia, tak białe jak hawanna i szare, ścięte mocno przy twarzy, pochylone nad czołem i ze spadającą z tyłu główką, woalki przy nich bardzo małe okrągłe.

Młode panienki noszą kapelusze okrągłe rozmaitéj formy najwięcéj jednak używane przez nich są toczki ze słomy włoskiéj, kaszkieciki szkockie i marynarskie z prostym brzegiem.

Na letnie suknie przygotowano *poil de chèvre* koloru blado żółtego, widzieliśmy nawet suknię wykończoną z tego materjału. Na każdym szwie wzdłuż brytów naszyte były dwie plisy skośne z materj sukni, przegrodzone pliską jedwabną niebieską. Stanik z karoczkiem i rękawy dosyć obcisłe odpowiednio były przybrane. Druga suknia popelinowa hawanna w drobne paseczki czarne, miała także na każdym szwie spódnicy naszyte plisy jedwabne wązkie u góry a szersze i zakończone śpiczasto u dołu. Plisy te niedochodziły do obrębu sukni. Stanik w kształcie kaftanika *Figaro* i rękawy z epoletem przybrane były pliskami czarnemi.

Les modes parisiennes. Prześliczną widzieliśmy suknię jedwabną koloru *gris tourterelle* przystrojoną plisami z materj *bleu meixco* z czarną koroneczką. Druga suknia *gris mode* ubrana była plisami fijołkowemi.

Do tego należał paltot jedwabny wcinany do figury naszyty pasmanterją i gipiurą. Na kapelusze bardzo używana materja *maïs* (kolor kukurydzy) i *bleu mexico*, suknią dobrać trzeba odpowiedniéj barwy, aby harmonja była w całem ubraniu.

Suknie dla dzieci powszechnie robią z wyrobu wełnianego w szkocką kratę albo z popielatego moheru naszyte plisami albo aksamitką.

Sukienki białe pikowe zwykle mają staniki czworograniasto wycięte, rękawki krótkie bufowane. Na wierzch zarzucają im burnusy z flanelki pąsowéj w kratkę.

Bieliznę dla kobiet zdobią zawsze haftem i walansienką. Nocne czepki mają z tyłu bufkę spadającą jak u siatek, przy twarzy czółko nagarnirowane ruszą albo koronką.

Z każdym dniem widziemy pojawiające się nowości w sklepach naszych. Między innemi magazyn pana Juljana Penkali dawniéj p. Szlenkera zaopatrzony został we wszelkie nowe przedmioty do ubrania, zacząwszy od płaszczyków, paletotów, rotond, do sukien letnich rozmaitego rodzaju. W ogólności wszyskie towary zalecają się bardzo dobrym gustem, opiszemy tu niektóre szczegółowo. Do najstrojniejszych wyrobów jakie dziś na suknie przyjęto, należy fular jedwabny, *fil de chèvre*, bareż *grenadinowy* w haftowany rzucik i muszlin cienki z drukowanemi szlakami. Fular sprzedają na sztuczki po Złp. 180 i Złp. 166 gr. 20

lub na łokcie od Złp. 6 gr. 20 do Złp. 9. Tło ich bywa po większéj części havanna, szare, szafirowe i fijołkowe a na nim paseczki czarne lub rzucik kolorowy. Ładne téż są fulary czarne w pasy tureckie średniéj szerokości, lub w drobny kolorowy rzucik.

Fular wnajlepszym gatunku ma szerokości ćwierci 6, tańsze niedochodzą pięciu ćwierci. Obok fularów jedwabnych widzieliśmy także i wełniane, pod względem gustu nieustępujące pierwszym; cena ich od Złp. 5 do 6-ciu. Na suknie lekkie i strojne najpiękniejszy bez zaprzeczenia bareż *grenadinowy* w haftowany rzucik, *fil de chèvre i linon*, rodzaj gęstego bareżu. Pierwszy wyrób szerokości łokciowéj kosztuje od Złp. 4 gr. 15 do Złp. 6 gr. 20, drugi trzymający blisko sześć ćwierci dochodzi do Złp. 8, trzeci po Złp. 5.

Znaleźliśmy w tymże magazynie gustowne bareże po Złp. 2 gr. 15 łokieć i wielki wybór ładnych perkalików i muszlinków.

Najmodniejsze z nich w dwóch kolorach z odpasowanemi szlakami lub z odznaczoną tuniką. Desenie drukowane na niektórych imitują wstążkę, koronkę lub sutasz. Sztuczka takiego muszlinku kosztuje od Złp. 100 do Złp. 133 gr. 10. Sztuczka perkalowa z drukowanym szlakiem wynosi Złp. 80 składa się ona zwykle ze spódniczki i paltocika lub rotondy. Podobały nam się także mohery, wyszyte jedwabiem ściegiem łańcuszkowym. Suknia taka gotowa kosztuje Złp. 200. Dostanie także moheru na łokcie po Złp. 6, szerokości ćwierci $5^1/_2$. Na suknie codzienne znajduje się doskonały wyrób wełniany *Cretonne* w paski i kratki po Złp. 5 gr. 15, popelina w kratę szkocką lub paski dwukolorowe po Złp. 6 gr. 20.

Paltociki czarne jedwabne bynajmniéj nie wychodzą z użycia wcinają je lekko do figury, ubierają pliskami i rozetami z materij, burnusy bywają długie przybrane pasmanterją i gipiurą. Noszą także krótkie burnusy, zwane talmy albo rotondy wygarnirowane falbaneczką, i mantylki szalikowe mocno opuszczone z ramion. Są także ładne burnusy i paltociki z wełnianych korcików w jasnych kolorach, suknia przy nich powinna bydź ciemna lub dobrana w odpowiednim kolorze.

Odznaczają się również fantastycznym układem beduiny z flanelki w kratę, lub korciku groszkowanego.

Mówiliśmy już o sukniach, okrywkach, panien Kuhnke, dziś dodajemy jeszcze kilka słów o ładnych kapeluszach i czepkach zrobionych z prawdziwie dobrym gustem.

Z pomiędzy kapeluszy podobał nam się szczególnie popielaty krepowy, przybrany na główce białą blondyną. Z boku zdobił go bukiet a raczéj kwiat jeden fijołkowy bez liści zwany *barbot*, rodzaj wielkiego habru. Podpięcie składało się z bulionowanéj illuzji, przybranéj z boku takimże samym kwiatem. Karczek fijołkowy i szarfy popielate, ładnie dopełniały całości. Inny kapelusz słomkowy ubrany był wstążką fijołkową i koroneczką na boku, zdobiła go kokarda od któréj spadała czarna kula uczepiona na łańcuszku. Rondo brzegiem obszyte było koronką stojącą w górę, z boków zaś odwinięta na kapelusz. Podpięcie podniesione w górę składało się z buljonowanéj illuzji, zawleczonéj fijołkową wstążką. Na boku szła kokardka z pukielków podniesiona w górę od któréj spadała takaż sama kula jak na wierzchu.

Kapelusz słomiany koloru hawanna, miał główkę, przybraną puklami z takiejże saméj wstążki, z pod pukli spadały końce wystrzępiane u brzega. Kokarda ta przełożona była grubym sznurem ze słomy. Podpięcie składało się z trzech pukli podniesionych do góry, przeplecionych sznurem ze słomy i akamitką czarną. Blondynki nie było wcale nad czołem, tylko przy boku twarzy. Szarfy hawanna, dopełniały całości.

Kapelusz sparterowy, (zwany paillasson) wyciskany w drobną szachownicę, główkę miał lilla, przytwierdzoną do ronda sznurami ze słomy i kwastami. Podpięcie składało się z illuzji i kłosów. Karczek lilla i takież szarfy dopełniały ubrania.

Kapelusik dla młodéj panienki słomkowy popielaty, wiązany pod brodą. Na główkę spadały trzy pukle z wstążki jasno-szafirowéj, przełożone aksamitką, która dochodziła do boków, i wiązała się na szafirowych szarfach. Podpięcie z illuzji, przybrane z boku bukiecikiem, i lekko przywiązaną kokardą z wązkiéj wstążki, ładnie odpowiadało całości.

Śliczne czepeczki zasługują także na szczegółowy opis, przejdziemy je tu po kolei.

Ubiorek na głowę, złożony z chusteczki czarnéj koronkowéj, ogarnirowanéj koroneczką i perełkami z lawy. Ząb z przodu zachodzący na czoło, przypięty z wierzchu broszą czarną lawową. Po obu stronach, rozchodzą się pukle z aksamitki.

Inny ubiorek dla młodéj mężatki. Nad czołem rozeta z materji strzyżonéj fijołkowéj od niéj idzie wałek do koła głowy, zakończony z tyłu kokardą.

Fanszonik obszyty blondynką, z przodu bukiecik z fijołków; końce spuszczone spięte razem kokardą z aksamitki.

Czepek zwany *bonnet Capuchon*. Z tyłu spada na włosy kapturek odwinięty w górę i nawleczony wstążką. Z przodu bukiecik z polnych lilla kwiat-

ków, końce blondynowe spadają na tył głowy, pod niemi zaś kokarda z końcami.

Oprócz tego panny Kuhnke, mają znaczny zapas krynolin, siateczek cienkich *invisibles*, woalików koronkowych z frendzelką; pasków szwajcarskich w różnym rodzaju, i innych tym podobnych szczegółów potrzebnych do ubrania.

Z kołnierzyków uważaliśmy zupełnie nowe fasony, podobał nam się szczególniéj płócienny, ścinany w kanty, i inny zaokrąglony z przodu, w nowym zupełnie kształcie przybrany haftowanemi paskami. Rękawki do tego ścięte do łokcia, mają mankiet obcisły jak u męzkich koszul.

Czepeczek illuzjowy okrągły. Na wierzch dana chusteczka lilla krepowa, z długiemi końcami, odrzuconemi na tył głowy. W koło czepeczka idzie garnirunek z krepy lilla obszyty wązką blondynką.

Katalanka gipiurowa, objęta w koło wstążką lilla i gipiurą. Nad czołem diadem ze wstążki, od diademu przeciągnięte długie końce, które się wiążą pod warkoczem.

Czepeczek illuzjowy. Nad czołem diadem ze wstążki niebieskiéj blondyny. Na tył głowy spadają dwa końce blondynowe tworząc katalankę, przybrane w górze kokardą i broszą z lawy.

Czepek ranny szkocki, złożony ze wstawek haftowanych i walansienki, forma jego podniesiona z przodu jak u czapeczek szkockich. W koło zamiast garnirunku, idzie tylko wąziuchna walansienka. Z boku nad czołem wpięta kokardka w kratę, tworząca jakby skrzydełko. Z tyłu spada kokarda muszlinowa z końcami; a na niéj druga kokarda z wązkiéj wstążeczki w ktatkę. Zalecamy taki czepek dla młodych mężatek, bo ładny i zupełnie oryginalny.

Opis deseni do haftu.

N. 1 i 2. Desenie na poszewki lub kapy.—N. 3. Przednia część szmizetki haftowanéj do sukni wyciętéj. — N. 4. Połowa pleców do szmizetki.— N. 5. Połowa kołnierzyka płóciennego. — N. 6. Mankiet odpowiedni, przyszyty do półbatystowego rękawka. — N. 7. Kołnierzyk stojący z wykładanemi rożkami. — N. 8. Połowa mankieta. Mankiety takie powinny bydź luźne jak u koszul męzkich. — N. 9. Połowa kołnierzyka. — N. 10. Mankiet. — P. 11. Połowa kołnierzyka. — N. 12. Mankiet. — N. 13. Połowa kołnierzyka webowego najmodniejszego fasonu. — N. 14. Całość powyższego kołnierzyka. — N. 15. Mankiet odpowiedni. — N. 16. Wzór mankieta. — N. 17. Kołnierzyk płócienny z wykładanemi rożkami i połowa mankieta; oraz kołnierzyk i mankiet webowy ze wstawką z walansienki. Brzegi i kawałeczki te gdzie deseń narysowany do haftu są płócienne, miejsca kratkowane oznaczają wstawkę koronkową. Kołnierzyk całkowicie wykrojony z płótna, naszywa się wstawką, a z pod spodu wycina się weba, żeby koronka była przezroczysta. Kołnierzyki takie jako najświeższego gustu sprowadzone zostały do magazynu pana Thonesa i Tocka. — N. 18. Motyl który może bydź haftowany w narożnikach kołnierzyka lub kolorowym jedwabiem na krawatce jedwabnéj. — N. 19, 20, 21, 22, 23. Narożniki i litery do znaczenia chustek do nosa.— N. 24. Zęby do dziergania falbany przy kapie batystowéj.

Opis deseniu na białą spódniczkę, formy woalki, kołnierzyków i rękawków.

N. 1. Deseń do wyhaftowania spódnicy z białego szyrtyngu, na przednim brycie nad gładkim obrębem. — N. 2. Dokończenie tegoż deseniu.— N. 3. Szlak odpowiedni w około spódnicy nad obrębem. — N. 4. Forma woalki zwanéj *maska* do okrągłych kapeluszy. Na około obszywa się koroneczką w zęby, przewlekając w odstępach sznelką co formuje frendzelkę. Na wierzchu daje się u góry wstaweczka do nawleczenia plecionką.— N. 5. Całość woalki. — N. 6. Połowa kołnierzyka z wykładanemi rożkami. — N. 7. Całość kołnierzyka płóciennego. — N. 8. Forma mankieta.— N. 9. Forma rękawka białego do powyższego mankieta. — N. 10. Całość rękawka. — N. 11. Forma mankieta. — N. 12. Połowa rękawka do powyższego mankieta. — N. 13. Całość rękawka.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru, dołącza się arkusz z deseniami do haftu i formami.

---

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

Dodatek do Nru 25 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 18 Czerwca 1864 roku.

JAN HALIFAX.

POWIEŚĆ M[rs] MULLOCH,

SPOLSZCZONA Z ANGIELSKIEGO

PRZEZ

Sewerynę Pruszakową.

(Dalszy ciąg.)

Artur zadrżał, matka wzięła dziecinę w objęcia ucałowała ją i rzekła słodko.

— Oto wujaszek Artur, idź do niego moje dziecię!

Dziecię położyło rączki na kolanach Artura. Obrócił się ku niéj, spojrzał mimowoli ale nie wyrzekł słowa.

— Czy ty wujaszek Artur?

— Tak jest.

— Czemuż mnie nie całujesz? wszyscy mnie całują mówiła mała pieszczotka, i drobnemi paluszkami przyczepiła się do zaciśniętéj ręki Artura.

— Jak ci imię moję dziecię?

— Ludwisia, mała Ludwisia mamy.

Artur odgarnął jasne włosy dziecięcia, i długo poglądał w prześliczną jéj twarzyczkę, zupełnie podobną do matki.

Schylił głowę, i pocałował dziecię w gładkie czoło.

Kiedy Artur podniosl w górę oczy, ujrzał przy sofie stojącą jasnowłosą kobiétę: postawa jéj pełna była spokojnéj godności. Nie była to Ludwika którą stracił.

Wstał, pocałował ją w rękę.

— Córeczka twoja, rzekł, poznała się już ze mną. Podobna zupełnie do ciebie, tylko ma oczy Edwina. Gdzież brat mój Edwin?

— Tu bracie! o jakżem szczęśliwy, że cię witam w tych progach.

Dwaj bracia, uścisnęli się serdecznie. Edwin nie lubił okazywać swych uczuć, uważałem jednak że rysy jego nagle się zmieniły, a przez parę minut, zdawał się mocno zajęty, zawiązaniem trzewiczka swéj Ludwisi. Potém zaczął rozmawiać z bratem, jakby nic nigdy nie zaszło między niemi.

Matka poglądała na nich w milczeniu. Radość przepełniła macierzyńskie jéj serce. Zamknęła oczy, a ustami szeptała modlitwę dziękczynienia.

Edwin i Ludwika opuścili nas na parę godzin. Artur opowiadał znów, przygody swoje i wspólnika, który powrócił z nim do Anglji, i jak wszystko postradał w rozbiciu.

— Smutniejsza to rzecz dla niego niż dla mnie, ciągnął daléj, gdyż on odemnie starszy; kiedy został moim komissantem, nie miał żadnego wyobrażenia o interesach, ale pracował jak niewolnik, jak murzyn. Pielęgnował mnie kiedym chorował na gorączkę i przez ostatnie trzy lata, był mi najwierniejszym przyjacielem. To najlepszy człowiek w świecie. Ojcze gdybyś ty wiedział....

— Dajże nam go poznać, rzekł ojciec, zaproś go natychmiast do Beechwood, a jeśli chcesz sam napiszę.

Magdalenko, przynieś tu papier i atrament. Ale nie wspomniałeś w żadnym liście jak się nazywa twój przyjaciel. Zapomniałeś o tém.

Artur spojrzał przenikliwie na ojca, wachał się chwilę, wreszcie nabrał odwagi.

— Nie zapomniałem ojcze, stosowałem się tylko do jego życzenia. Znałeś go dobrze, lecz teraz zaparł się dawnego nazwiska i tytułu. Odkąd przybył do Ameryki zwał się po prostu Wiljam Rawenel.

Wiadomość ta mocno nas zdziwiła. Magdalenka, która trzymała Ludwisię na kolanach, zasłoniła nią gwałtowne swoje wzruszenie.

Tak jest, Magdalenka kochała Wiljama. Może być że odgadła tajemnicę jego odjazdu, że zaparł się dla obowiązku z całem poświęceniem, majątku swego, imienia i niéj saméj. Któraż kobiéta nie byłaby dumną z miłości człowieka, który wyżéj stawia pominność nad uczucie? Długa nieobecność jego, rozwinęła tém silniéj szczere przywiązanie w jéj sercu.

Tak jest, Magdalenka kochała Wiljama i rodzice wiedzieli o tém dobrze, ale mocno wzruszeni nie wyrzekli ani jednego słowa. Zobaczywszy to Artur zapytał po chwili nieśmiało:

— Ojcże, czym źle uczynił....? ja nie wiedziałem o tém!....

— Nie mój synu, nie!.... Dziwna rzecz zaprawdę!... Magdalenko, moje dziecię, rzekł Janek, zaprowadź Ludwisię do matki.

Dzieweczka wstała z pośpiechem.

— Magdalenko, rzekł Janek biorąc rękę córki, gdy przechodziła koło niego, dziecię moje, wszak się nie boisz ojca?

— O nie! rzekła pomięszana, nie! powtórzyła żywo, jakby wstydząc się sama siebie. Pocałowała go potém w rękę i odeszła.

— Mówże dalej Arturze.

Artur opowiedział potém przygody swoje i Wiljama. Mówił nam jak Rawenel, przybywszy do Ameryki, pracował z nim wytrwale, jak bliski zatonienia, w obec niechybnéj śmierci, wyznał mu tajemnicę serca swego. Od téj chwili, z przyjaciół, staliśmy się braćmi, wzajemnie się całém sercem kochającemi.

Artur mówił głosem stanowczym, jakby niewątpił o przyzwoleniu ojca. Ale spostrzegłszy smutek w obliczu jego, dodał nieśmiało.

— O! gdybyś wiedział ojcze!....

— Doświadczenie, mój synu, przerwał Janek, nie na wiele mi w tém posłużyło. Mądrość Boża nieskończenie wyższa od ludzkiéj! Słowa te wyrzekł smutno, wyrzucając sobie postanowienie, które lubo miało w swoim czasie pozór słuszności, teraz okazało się niesprawiedliwém.

— Ojcze, rzekł Artur, postąpiłeś sprawiedliwie: sam Wiljam zgadza się na to. On mówi że jeźli został człowiekiem, tobie to jedynie zawdzięcza. Lubo kocha nad wszystko Magdalenkę, przyznaje że ta próba była dla niego konieczną.

— Ma słusność, rzekła pani Halifax, miłość która nie przechodzi żadnéj próby, nie może się zwać miłością. Słusznie utrzymuje twój ojciec, słusznie powiedział to Wiljamowi tego pamiętnego wieczora:

Człowiek nie powinien nigdy mówić, już zapóźno. Janek milczał. Głowę miał opartą na ręku, drugę rękę przycisnął do piersi. Parę razy odetchnął z ciężkością. Zobaczywszy to Artur odezwał się nieśmiało:

— Ojcze! obiecałem mu że napiszę do niego, lub zobaczę się z nim dziś jeszcze....

— Gdzież on jest?

— W Norton-Bury, zabawi póki się nie dowie że pragniesz jego obecności.

— Pragnę jéj szczerze odparł ojciec.

— A więc napiszę do niego zawołał uradowany Artur.

— Napiszę sam rzekł Janek.

Ale ręka jego tak mocno drżała, że nie był wstanie postawić litery, wsparł się o poręcz krzesła i wyrzekł słabym głosem.

— Czuję że się starzeję, dobrze żeś powrócił do domu Arturze.

Pani Halifax sądząc że zmęczony, nalegała aby spoczął na sofie, uczynił zadosyć jéj woli, potém wstał mówiąc że pojedzie sam do Norton-Bury po naszego dawnego przyjaciela.

— Nie ojcze, ja napiszę do niego, przerwał Artur, dość ma czasu jutro przyjechać.

Ojciec potrząsł głową mówiąc.

— Nie! muszę dziś widzieć go koniecznie.

I pożegnawszy tkliwie żonę, Janek wyszedł z pokoju. Artur rozpromieniony radością, chwalił się że postąpił jak zręczny dyplomata, i tym sposobem zapewnił szczęście Wiljama i Magdalenki.

— Pewien jestem, rzekł, iż będę miał udział w ich szczęściu. Pobiorą się natychmiast, Wiljam zostanie naszym wspólnikiem. Jakże się cieszę, a ty matko?

Urszula uśmiechnęła się łagodnie.

— Wkrótce ja sam pozostanę ci ze wszystkich dzieci, będziesz mnie psuła i pieściła jak jedynaka, a ja tak będę szczęśliwy przy tobie, że nie pomyślę nawet o innem szczęściu.

Matka spojrzała na syna z niewymownem uczuciem.

Wiljam Rawenel, przybył niedługo z panem Halifax. Matka spostrzegła go pierwsza. Słyszałem jak ojciec poszedł do pokoju Magdalenki, gdzie się biedna dziewczynka przez cały dzień ukrywała. Za chwilę zeszli oboje do sali. Widziałem potém jak Wiljam i Magdalenka udali się przez ogród do bukowego lasku.

Tego wieczoru obsiedliśmy w licznym gronie stół zastawiony herbatą, Artur, Edwin, Walter, Magdalenka, Ludwika, Wiljam Rawenel, siedzieli obok siebie, wszyscy zmienieni, a jednak ci sami jak dawniéj.

Każdy zajął zwyczajne swoje krzesło oprócz matki, która leżała na sofie. Magdalenka rozlewała herbatę z niezwykłą powagą. Czuła całą wagę nowych obowiązków jakie zaciągnąć miała względem tego, który kochał ją tak stałą, tak prawdziwą miłością; czuła że powinna mu osłodzić długie lata przetrwanych prób i cierpień.

Janek zaprowadził wcześnie Urszulę do jéj popokoju, mówiąc że lubo zdaje się zdrowsza, powinna oszczędzać własne siły.

Powróciwszy na dół rozmawiał chwilę z Wiljamem. Spostrzegłem że był nadzwyczaj blady i zmęczony. Nie długo wyszedł z pokoju.

I ja poszedłem za nim: stał oparty o komin w bibljotece.

— Kto tam? zapytał słabym głosem.

— Janku co tobie? zapytałem przerażony jego nadzwyczajną bladością.

— Chodź tu Fineas, rzekł, nie wołaj nikogo. Zamknij drzwi.

Uczyniłem jak kazał.

— Fineas, rzekł, biorąc mnie za rękę, nie lękaj się o mnie. Będzie mi coraz lepiéj. Wiem co to jest. O! Boże.... Przy tych słowach gwałtowny ból przechodzący niemal siły ludzkie ścisnął mu piersi, ale ręki mojéj nie wypuścił z obawy abym nie zawołał o ratunek. Słysząc stąpanie w sieni, postąpił chwiejącym krokiem ku drzwiom i przekręcił klucz w zamku.

W kilka minut potém, ból nieco się uśmierzył. Janek usiadł w fotelu. Poszedłem po wodę, napił się.... obmyłem mu skronie i czoło. Odetchnął głęboko jakby chciał pochwycić uciekające życie. Wkrótce uczuł się lepiéj.

— Dzięki Bogu, już przeszło! Fineas proszę cię zapomnij to coś widział.

— Janku co tobie było?

— Nie obawiaj się. Doświadczyłem już tego nie raz.... pamiętasz. Ból to okropny póki trwa, ale mija prędko jak widzisz, nie trzeba mówić o tém żonie, ani nikomu. Wolę aby o tém nie wiedziano, rozumiesz mnie Fineas?

Janek myślał że poprzestanę na takiem wyjaśnieniu. Mylił się. Nalegałem usilnie aby mi powiedział jaką cierpi chorobę.

— Albož ja wiem, odrzekł, jest to ból gwałtowny lecz przemijający. Proszę cię na wszystko zapomnij już otém.

Mogłżem zapomnieć? Janek wziął książkę i chwilę był spokojny, ale od czasu do czasu uważałem jak spoglądał na mnie szczególnym wzrokiem. Widocznie chciał wyprobować moją odwagę, chciał się przekonać do jakiego stopnia go kocham, i ile zdołam wytrwać dla jego przyjaźni.

— Janku, ty nie czytasz, odezwałem się po chwili, powiedz mi o czém tak myślisz?

Wachał się chwilę, a potém odpowiedział.

— Myślę o twoim ojcu. Czy ty go pamiętasz? Spojrzałem na niego zdziwiony.

— Chciałem powiedzieć, mówił daléj, czy pamiętasz jego ostatnią chwilę.

— Tak jest, odrzekłem przerażony, ale dla czego mówisz o tém?

— Sam nie wiem.... zresztą kiedy chcesz.... powiem ci....

— Powiedz Janku, powiedz" odrzekłem wzruszony.

Spojrzał mi w oczy, jakby chciał obudzić we mnie odwagę, która go nie opuszczała.

— Fineas, rzekł, myślę że umrę w ten sposób jak twój ojciec.

— Ależ Janku, takie rzeczy Bóg zakrył przed oczyma człowieka.

— Wiem o tém, wiem że mogę żyć jeszcze kilka lat albo umrzeć z innéj choroby.

— O jakiéj mówisz chorobie?

— Nie lękaj się.... widzisz żem spokojny. Od kilku lat domyślałem się niebezpiecznego stanu mego zdrowia, ale nabrałem dopiero pewności od czasu jak byłem w Paryżu.

— Czyś chorował w Paryżu? nie wspominałeś nam otém....

— Nie.... Fineas, nie chorowałem, ale powiedz mi czy masz odwagę usłyszéć całą prawdę? Wiesz że to nie zmieni rzeczy.

— Jaką prawdę? wytłumacz się, zaklinam....

— Doktor K.... mówił mi, gdyż nalegałem aby nic nie ukrywał.... doktor K.... mówił że mam chorobę, na którą wszelkie środki ludzkie nie zdołają nic dopomódz. Mogę żyć z nią lat kilkanaście, a nawet doczekać późnéj starości, ale téż mogę umrzéć lada chwila tak samo jak twój ojciec.

Janek wyrzekł te słowa z nieporównanym spokojem i słodyczą, gdy ja niemal cały drżałem z boleści i przerażenia.

— Fineas! dodał, i oparł mi rękę na ramieniu tę zacną rękę, która mnie prowadziła tyle lat z braterską prawdziwie miłością.

— Fineas, znamy się od lat czterdziestu, czyż wiara nasza tak mała, abyśmy drżeli na myśl chwilowego rozłączenia?

Widząc że nic nie odpowiadam, mówił daléj tonem lekkiego wyrzutu.

— Bracie! ty jeden słyszałeś to co dotąd trzymałem w tajemnicy. Żałuję żem ci taką okazał ufność.

Na usilne moje proźby, wyznał mi całą prawdę, że choroba nie była tak bardzo jeszcze straszną, napady w prawdzie zdarzały się ale rzadko i krótko trwały. Czując że nadchodziły, usuwał się do osobnego pokoju i znosił je w samotności.

— Dotąd mówił daléj, mogłem to czynić i *Ona* nie domyślała się niczego....

Zabrakło mu nagle głosu w piersi.

— Myśl o żonie mojéj, dodał po chwili, była dla mnie okropną. Chciałem nie raz wyznać jéj wszystko ale zmieniłem zdanie. Od czasu jéj choroby myślę że to rzecz zbyteczna.

— Czyż byś wolał..... rzekłem, nie mogąc wymówić zbyt bolesnego zapytania.

— Tak jest, odparł Janek, wolałbym żeby

umarła piérwsza. Cierpiałbym mniéj, a rozłączenie byłoby tak krótkie.

Janek mówił o śmierci tak spokojnie jak się mówi o zmianie mięszkania, lub o zamierzonéj podróży. Od dawna oswoił się z tą uroczystą myślą. To co jest najokropniejszym postrachem ludzkości nie trwożyło go wcale, a gdy mówił, tajemna siła wstępowała od niego w duszę moję, i pojmowałem, zrozumiałem jak krótką jèst chwila dzieląca życie doczesne od wieczności.

— Sądziłem mówił daléj Janek, że ponieważ ten napad boleśniejszy był od innych, właściwie byłoby uprzedzić kogo o tém. Wielka to pociecha dla mnie, że mogę z tobą otwarcie pomówić, mój Fineasie nasz zacny i wierny przyjacielu.

W razie zaś wypadku, pamiętaj przygotować pomału Urszulę, a że oddawna nie jestem pewien dnia ani godziny, patrz, nakreśliłem w pugilaresie ostatnie polecenie moje do ciebie.

Podał mi pugilares, i ukazał nakreślone słowa.

Oddając go wyrzuciłem przypadkiem list pożółkły i zużyty. Jedyny list który Urszula Marek, pisała kiedyś do niego.

Janek podniósł go i schował starannie do pugilaresu.

— Biedaczka, moja biedaczka! rzekł z głębokiem westchnieniem. Szczęśliwy jestem że Artur powrócił do domu.... szczęśliwy ze szczęścia mojéj Magdalenki. Jakie te dzieci wesołe!

I cień smutku przemknął po obliczu ojca, tkliwego ojca, który tak ukochał domowe ognisko. Wkrótce jednak uspokoił się i mówił daléj ze zwykłym mu spokojem i powagą:

— Jakże oni rozradowani, jak się wszystko pomyślnie dla nas zmieniło. Słusznie Urszula mówiła do mnie dziś wieczór: w téj chwili nie mamy najmniejszego zmartwienia.

Chwyciłem się tych słów, i przypomniałem Jankowi, co mówił Doktór K: że jeźli będzie żył bez trosk i niepokojów może doczekać się póznego wieku.

— Tak, jak twój ojciec odrzekł z uśmiechem, kto wie Fineas, możemy zostać jeszcze starcami.

Domawiając tych słów, powstał zupełnie krzepko, nie ukazując najmniejszego śladu przebytego cierpienia.

— Chodź ze mną, rzekł, powiemy dzieciom dobranoc.

Wachałem się chwilę, poszedłem jednak za nim.

Gdy dzieci rozeszły się, zostaliśmy jeszcze oba w sali. Janek oparł rękę na mojem ramieniu, jak to nieraz czynił w młodości.

Nie potrzebuję zapisywać tu owéj rozmowy naszéj, lecz pamiętam ją słowo w słowo.

Potém uścisnęliśmy sobie ręce.

— Dobranoc Fineas rzekł.

— Dobranoc drogi Janku!

XLIII.

Piątek 1 Sierpnia 1834.

Wiele osób pamięta jeszcze ten dzień. Zaświecił on jasno nad Anglją. Wszystkie dzwony biły radośnie, cechy postępowały z chorągwiami, robotnicy uwolnieni byli od roboty, a dzieci ze szkół i szkółek wiejskich. Wszędzie panowała najwyższa radość, Angija bowiem uniesiona wspaniałomyślnym popędem, zapłaciła dwadzieścia miljonów, a we wszystkich jéj koloniach murzyni odzyskali wolność.

Wiele osób zachowało dotąd mały medal ze srebra, złota albo miedzi, wybity na pamiątkę dnia tego. Widziałem jak pani Halifax zawiesiła go na szyi Ludwisi. Te medale kupowane przez wszystkich, bez względu na szczebel społeczny jaki kto zajmował, rozdawane po szkółkach i ochronach, wyobrażały stojącego niewolnika wznoszącego ku niebu ręce. z których opadały kajdany. Słyszałem jak Janek mówił do żony, że tak sobie wyobrażał Świętego Pawła w więzieniu, kiedy pisał do braci. „Walczyłem ciężko, dobiegłem do kresu, zachowałem moję wiarę!”

Przez całe rano Janek pozostał z żoną, woził ją małym wózkiem po ogrodzie, zatoczył ją na łąkę gdzie dziatwa z naszéj szkółki, pląsała wesoło, i zkąd było słychać robotników gwarzączych radośnie na dziedzińcu fabryki. Wszyscy bowiem mieszkańcy Ennerly, za przykładem pana zajęci byli żywo oswobodzeniem niewolników.

Nasza dziatwa powtarzała bez ustanku, że ten dzień czynił zaszczyt nam i naszemu krajowi.

Janek najszczęśliwszy ze wszystkich, zaprowadził żonę po obiedzie pod wielki jesion, gdzie mogła oddychać świeżą wonią siana leżącego na pokosach i podsłuchywać szumu strumienia płynącego w niedalekim lasku bukowym. Usiadł przy niéj na murawie i żartując chwalił jak jéj do twarzy w nowym kapeluszu, i pięknym szalu białym, który dostała od Artura. Tym czasem Artur z Magdalenką, Ludwiką i ładną Marją Oldtower, poszli do szkółki wiejskiéj, gdzie przygotowano dla dzieci herbatę.

(d. n.)
